

Zaufanie to bezcenna rzecz.
Mimo niechęci obojga
zaczyna kielkować.

PRAWNICZKA!

Prawniczka Camorry
tom 2

ANNA FALATYN



Copyright ©
Anna Falatyn
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2021
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Anna Strączyńska
Korekta:
Katarzyna Tkaczyk
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-629-4

ANNA FALATYN

PRAWNICZKA

PRAWNICZKA CAMORRY #2

OŚWIĘCIM 2021

PROLOG

Dwadzieścia lat wcześniej

Marechiaro, Neapol 07.11.1999 7:40

*Albowiem dzień pomsty był w moim sercu
i nadszedł rok mojej odpłaty.*

(...)

*Zdeptałem ludy w moim rozgniewaniu,
starłem je w mojej zapalczowości,
sprawiłem, że krew ich spłynęła na ziemię.*

Iz 63:4,5

– Mamo, proszę, pomóż mi. Ukryj mnie gdzieś, powiedz mu, że mnie boli – wyrzucił z siebie, co jakiś czas nerwowo zachłystując się powietrzem i tamującymi oddech łzami.

– Masz jedenaście lat. Nie będę ci pomagać całe życie. Jesteś już prawie mężczyzną, a mężczyźni nie płaczą mamie w rękaw – wyjaśniła beznamiętnym, oschłym tonem.

– Mamusiu, ale mnie boli – zakwilił, próbując objąć matkę, ale ta tylko odsunęła się od niego na krok.

– Teraz boli, ale przestanie. – Wygładziła palcami czarne włosy, które lepiły się do gorącego, spoconego czoła. – Będiesz miał tylko kilka siniaków, na które sam zasłużyłeś. Nie możesz chodzić po tym domu, gdzie chcesz i kiedy chcesz. Ja za chwilę rodzę, niedługo idę do szpitala. Nie możesz wszystkich denerwować.

– Chciałem tylko zjeść kawałek ciasta. – Przetarł rękawem bluzy oczy i nos, z którego jeszcze przed chwilą sączyła się cienka strużka krwi. – Bolał mnie palec, zobacz. – Podsunął matce pod nos opuchniętą dłoń, nie przestając łkać.

– To ciasto nie było dla ciebie. Jeżeli coś nie jest dla ciebie, to tego nie ruszasz. Kiedy w końcu to zrozumiesz?

– Ale ja tak bardzo lubię marchewkowe – zaszlochał ponownie.

– James! – podniosła głos, wybałuszając oczy ze zdziwienia zachowaniem syna. – To, co ty lubisz, nie ma znaczenia. Nikogo nie obchodzi, czego ty chcesz. Musisz cieszyć się z tego, co dostajesz. Rozumiesz? Nic poza tym. Tutaj obowiązują pewne zasady.

– Już nie wezmę. Rozumiem. Mogę iść spać? Proszę...

– Jest ósma rano, o tej porze już się nie śpi.

Gdy tylko skończyła zdanie, na korytarzu odbiły się męskie, ciężkie kroki. Mały skulił instynktownie ramiona, chowając w nich szyję, i zaplótł dłonie na piersi. Zza zakrętu korytarza wyłonił się Liwio Moretti. Jego kroki był pewne i stanowcze jak cały on.

– Nie szanujesz domu, w którym mieszkasz, nie szanujesz mnie ani niczego, co masz. Doba na ulicy powinna nauczyć cię, jakie masz szczęście, że możesz tu być. Antonio zawiezie cię do miasta. Wrócisz już sam. W poniedziałek o siódmej widzę cię przed bramą, jak nie trafisz lub nie wytrzymasz, twój pech. – Liwio nie krzyczał, nawet na chwilę nie podniósł głosu. Zimny, władczy ton był jak ostrze noża złościące na skórze coraz głębsze rany.

– Szefie, jest listopad. Daj mu chociaż jakąś kurtkę – wtrącił się Antonio.

– Kurtkę? – powtórzył, nie obdarzając małego spojrzeniem.

– Zostaw go na *Piazza Garibaldi*¹, pobiega trochę ze szczurami po zmroku, to mu się ciepłej zrobi. Jedź, szkoda czasu.

Antonio skinął tylko głową, po czym zaprowadził Jamiego do samochodu. Nie miał wyboru. Nie on decydował o losie tego

¹ *Piazza Garibaldi* – (z włos.) Plac Garibaldiiego. Miejsce poświęcone jednemu z największych włoskich bohaterów narodowych: Giuseppe Garibaldiemu. Jednocześnie główny węzeł komunikacyjny w Neapolu. (przyp. aut.)

malucha. To Liwio pełnił w tym mieście funkcję boga. Jechał najwolniej, jak mógł, opóźniał, kluczył wśród uliczek, co jakiś czas nerwowo spoglądając w lusterko na wątego, słabego chłopca na tylnym siedzeniu, który chyba do końca nie zdawał sobie sprawy z tego, co go czeka. Niestety w końcu nadeszło nieuniknione.

– Mały – zaczął Antonio po zatrzymaniu się na miejscu. – Po zmroku musisz się gdzieś schować. Najlepiej poszukaj jakiegoś kościoła. W niektórych nie zamykają drzwi na noc albo zostawiają uchylone okna. Musisz cały czas obserwować. Jedzenia szukaj przy knajpach, po zamknięciu resztki wyrzucają na tyły. I nie zostawiaj przy sobie resztek na noc – szczury. Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

Udało mu się. Przetrwał. Zziębnięty, głodny, u kresu dziecięcych sił, ale przetrwał. O siódmej trzydzięci doczłapał do bramy domu, a właściwie piekła, w którym pozwalano mu się smażyć. Musiał się trzymać, zapewne taki camping w mieście powtórzy się wielokrotnie. Teraz nie myślał jednak o niczym innym, jak o ciepłym łóżku i czymś do jedzenia. Ojciec miał rację: musiał okazać wdzięczność za to, co ma. Niestety jego obecność przy wejściu do domu nie zwiastowała niczego dobrego.

– Jest poniedziałek. Szkoła. Co ty tu jeszcze robisz? – Ubrany w drogi jedwabny garnitur Liwio stał wyprostowany jak struna na schodach i sączył kawę. Spinki mankietów idealnie pasowały do ekskluzywnego zegarka, a krawat do koszuli.

Młody już wiedział, że zaraz ma pewnie jakieś spotkanie. Zawsze tak się ubierał, gdy szedł załatwiać interesy albo ktoś miał się u niego pojawić. Jamie czasami nie umiał opanować ciekawości i zakradał się pod drzwi gabinetu, aby posłuchać, o czym rozmawiają. Raz został przyłapany przez Matteo. Skończyło się na złamanym nosie i kolejnych dotkliwych siniakach. Wtedy

praktycznie przestał wychodzić z pokoju. Zamykał się na długie godziny i układał klocki. Budował zamki, mosty, domy. Coraz większe i lepsze. Wymyślał, rysował na kartce, a potem starał się je odwzorować z drewnianych elementów.

– Chciałbym się umyć i przebrać – wyszeptał potulnie, spuszczać wzrok na swoje buty.

– Nikt nie kazał ci się brudzić. Ubrań, które ci kupuję, też nie szanujesz. Za pół godziny zaczynasz lekcje. Rusz się. – Rzucił mu pod nogi plecak, po czym zniknął za drzwiami.

Jamie pociągnął kilka razy nosem, narzucił na głowę kaptur i z trudem założył plecak. Musiał się pośpieszyć. Jeżeli spóźni się do szkoły, znowu czeka go bolesna kara, a w wymyślaniu ich Liwio był prawdziwym mistrzem.

Szedł przez plac w kierunku głównego wejścia do szkoły i liczył kroki. Zawsze je liczył. Wtedy szybciej mijał mu czas i mógł skupić się na czymś innym niż wyzwiska. Ktoś rzucił kamyczkiem, trafiając go w ramię, ktoś inny splunął mu pod nogi, jeszcze ktoś nazwał bękartem. Już przekraczał próg szkoły, gdy został pchnięty na drzwi wejściowe.

– Uważaj, jak leziesz, sieroto.

Z głośnym jękiem odbił się od szyby i wylądował na ziemi. Natychmiast zebrał się w sobie i wstał. Nie mógł zostać w partezie. Doskonale wiedział, co się z tym wiąże. Zaraz zapewne na jego plecach i żebrach wylądują kopniaki. Oprawca szturchnął go drugi raz, gdy próbował zrobić krok do przodu, a następnie zagroził mu drogę.

– Muszę iść na lekcje – wydukał, nie podnosząc wzroku. Zbyt-
nio bał się zobaczyć ich twarze.

– Słyszałeś, Marco? Ciota śpieszy się na lekcje. – Gruchnął jadowitym śmiechem. – Mój ojciec mówi, że takim jak ty powinno się rozgniatać krtań butem.

– Lepiej chodź. – Marco nerwowo pociągnął kolegę za ramię.

– Parisi idzie. – Wskazał palcem zbliżającego się w ich kierunku

nastolatka. Szedł powoli, z rękoma w kieszeniach, kopiąc swój plecak po ziemi. W końcu podniósł znudzone spojrzenie na wejście do szkoły i nagle się ożywił.

– Valenti, widzę cię! – Chwycił w dłoń plecak i ruszył biegiem przed siebie. – Dziadek mówi, że rozwali twojemu staremu łeb, bo wisi mu kasę!

Chłopiec podszedł szybkim krokiem do Jamiego i stanął na wprost niego.

– A ty co? Wywaliłeś się? – Spojrzał na jego brudne ubranie i dziurę w bluzie.

– Nie – odpowiedział trzęsącym się głosem.

– Ej, co ci? Boli cię coś?

– Nie-e.

– Jak masz na imię?

– Ja, Ja-Jamie – wyszeptał niepewnie.

– A, to ty jesteś od Morettich.

Skinął tylko głową na potwierdzenie.

– Mój dziadek mówi, że stary cię leje, bo nie jesteś jego. Nie przejmuj się, mój czasami też uderzy matkę, ale to frajer. Nienawidzę go jak każdego. Tylko dziadek jest spoko. Kiedyś poderżnę im wszystkim gardła – zadeklarował z niebezpieczną pewnością w głosie.

Jamie poruszył się nerwowo, widząc kątem oka, jak wyciąga z kieszeni dzinsów scyzoryk i zaczyna się nim bawić.

– Ej? Płaczesz? – zdziwił się, gmerając ostrzem w materiale plecaka i robiąc tym samym coraz większą dziurę.

– Nie – wydukał przez łzy.

– Nie możesz beczeć. Tylko baby i pedały beczą. Jesteś babą?

– Nie.

– A pedałem?

– Nie wiem, kto to – zawstydził się.

– Ja też nie – wzruszył obojętnie ramionami – ale dziadek tak mówi.

– Idziesz pograć w piłkę po lekcjach?

– Nie, muszę wracać do domu.

– Tamci ci dokuczali?

– Nie.

– Umiesz mówić coś innego niż „nie”? Dziwny jesteś. Jakbyś chciał jednak pograć z nami, to przyjdź o piętnastej na boisko przy szkole i szukaj Alexa. I jeszcze jedno. Mój dziadek mówi, że przeciwnikowi trzeba zawsze patrzeć w oczy. Nie możesz spuszczać głowy ani się bać. Patrzenie w oczy go osłabia. Jak płaczesz i się chowasz, dajesz mu przewagę. Albo jakoś tak, dokładnie nie pamiętam. – Znów rzucił plecakiem przed siebie.

– Masz na imię Alex? – Jamie podniósł głowę i zerknął w kierunku odchodzącego chłopca. Był zdecydowanie starszy, wyższy, silniejszy i chyba lubił się bić. Na czole miał pokaźnych rozmiarów guza, a jego szare lśniące oczy wręcz prosiły się o kolejne kłopoty i rozbitcie paru nosów.

– No, przecież powiedziałem. Właściwie to Alexander, ale możesz do mnie mówić Alex. *Ciao*, młody.

Jamie patrzył za nim zamglonymi od łez oczami. Chciałby być taki jak on. Chciałby nie bać się nikogo ani niczego. Alex z pewnością nie dałby się nikomu uderzyć ani obrazić. W uszach zabrzmiał mu dzwonek, który skutecznie odgonił myśli i zagłuszył burczenie w brzuchu.

W drodze powrotnej do domu przewrócił się dwa razy. Spowalniał go plecak, zmęczenie, obolałe ciało i głód. Zdecydowanie zbyt dużo czasu stracił na wiązanie buta. Wybite, spuchnięte palce przeszkadzały nawet w tak prostej czynności, jak związanie ze sobą dwóch sznurków. Kiedy już stanął przed bramą domu, ledwo łapał powietrze ze zmęczenia. Niestety ojciec już czekał, co oznaczało tylko jedno: spóźnił się.

– Trasa do domu zajmuje dokładnie dwadzieścia siedem minut. Lekcje skończyły się o czternastej trzydzięci. Która jest godzina? – Podsunął mu pod nos zegarek. – No, która?

– 15.02.

– A o której powinienes być?

– O 14.57 powinienem być przy bramie. – Wyprostował się jak struna i ułożył ręce wzdłuż ciała, prawie stając na baczność. Wzrok ponownie zatrzymał się na butach.

– Więc, ile się spóźniłeś?

– Pięć minut.

– A co to oznacza?

– Uderzysz mnie pięć razy w twarz otwartą dłonią, jak zawsze, gdy jestem nieposłuszny albo się spóźniam – wyrecytował wyuczoną regułkę.

– A dlaczego to robię?

– Bo nic nie znaczę i nie jestem godny, żeby tutaj mieszkać i nosić twoje nazwisko. Poza tym czas to pieniądz, nie wolno się spóźniać.

– Brawo. Czyli jednak coś dociera do twojego małego mózdzku.

Zanim skończył zdanie, Jamie poczuł silne uderzenie na policzku. Niesiony siłą uderzenia odchylił się na bok. Ledwo udało mu się złapać równowagę. Zziębnięta skóra zaczęła palić nieznośnym bólem.

Mój dziadek mówi, że przeciwnikowi trzeba zawsze patrzeć w oczy. Nie możesz spuszczać głowy ani się bać. Patrzenie w oczy go osłabia. Jak płaczesz i się chowasz, dajesz mu przewagę, powtórzył w myślach słowa Alexa.

Podniósł głowę i nieśmiało spojrział na twarz ojca. Był jak zawsze: zimny i bez emocji, postać wykuta w marmurze. Nawet jeden mięsień nie drgnął. Nieruchomy, skamieniały, wyprany z wszelkich uczuć.

Uderzył go po raz drugi. Jamie ponownie wrócił wzrokiem na twarz, szukając spojrzenia Liwio. Zacisnął dłonie w pięści, z trudem tamując łzy. Trzeci raz uderzył już lżej.

Alex miał rację.

Siedemnaście lat później

Marechiaro, Neapol 03.01.2016 14:20

Odgłos bijącego serca i świszczący, nierówny oddech wypełniały jego gabinet. Spoglądał beznamiętnie w przestrzeń przed sobą, jakby nie ograniczały jej żadne mury. Z jego błękitnych oczu bił żar nienawiści, gniew i każde negatywne uczucie, jakie był w stanie odczuwać człowiek. A może już nie był człowiekiem, może resztki człowieczeństwa stracił, gdy wrócił do tego skażonego miasta? Jeżeli nie był człowiekiem, w takim razie kim? Kim się stał? Kim jeszcze mógłby się stać?

Wciągnął głęboko powietrze przez nos, wykrzywiając przy tym usta w okrutnym, jadowitym grymasie.

– Czujesz? – zapytał pogardliwym tonem osobę znajdującą się wraz z nim w pomieszczeniu, po czym leniwie wstał zza biurka. – Strach i śmierć. Dla mnie niczym bukiet najwykwintniejszych perfum lub najlepszego wina. Obezwładniający, momentami duszący, powodujący zawroty w głowie. Czasami może nawet trochę słodki. To taki zapach, który bardzo szybko przesiąka nawet przez skórę i pozostaje z nami na długo. Nie jesteś w stanie go zmyć ani doprać. Niewidzialne znamię. – Poprawił spinki przy mankietach czarnej koszuli, wygładził poły marynarki, a następnie oparł się o biurko, krzyżując ręce na piersi.

– Wstań, Valenti – polecił twardo. – Chyba że wolisz rozmawiać ze mną z poziomu parteru, wtedy możesz zostać na kolanach. Facet klęczący przed innym facetem, to dopiero smutny widok. Wręcz upadek. Nie uważasz?

Po raz kolejny odpowiedziała mu głucha cisza i rwany, sapliwy oddech.

– Nic nie mówisz. Szkoda. Zawsze wydawało mi się, że jesteś bardziej wygadany. Ktoś mi kiedyś powiedział, że takim jak ty powinno się rozgniatać krtań butem... – urwał na moment, marszcząc czoło, jakby zastanawiał się nad czymś z nadmierną intensywnością. – Albo te słowa były skierowane do mnie... Przypominasz sobie coś?

– Ja-a – wydukał nerwowo, pozostając w tej samej pozycji.

– Spójrz na mnie! – podniósł lekko głos. Drażniła go jego bierność. Jeszcze niedawno każdy z nich był hardy i nieustraszony. Wypinali dumnie klaty, puszyli się, prezentowali niczym pawie swoje ogony. Teraz niewielu miało odwagę spojrzeć mu w oczy.

Tito Valenti drgnął na dźwięk jego głębokiego, przywódczego tonu. Bez pośpiechu uniósł głowę, mrużąc przy tym powieki, jakby trafił na oślepiający promień słońca i starał się chronić przed nim oczy.

– Wiesz, jak to jest rozgniatać komuś krtań butem? Zrobiłeś to kiedyś? To nawet gorsze niż duszenie sznurem lub gołą pięścią. Wszystko pęka z głośnym trzaskiem, zapada się niczym karoseria samochodu po zderzeniu z drzewem. Ale ty jeszcze przez chwilę żyjesz, czujesz każde pękające naczynie krwionośne, każdą wybuchającą żyłę i kosteczkę. Ciśnienie zatyka ci uszy, rozrywa mózg... Nieciekawe doświadczenie.

– Przepraszam, ja wtedy...

– Spokojnie, Valenti, nie jestem pamiętliwy – przerwał jego próby zbudowania sensownego zdania. – Nie musisz się tłumaczyć. Nie po to tu jesteś. Chciałem tylko sprawdzić, co u ciebie po tylu latach. Masz żonę? Dzieci? – zagadnął tym razem radosnym tonem, jakby naprawdę rozmawiał ze starym znajomym po latach rozłąki.

– Żonę i syna.

– Gratuluję, bo ja żonę i dziecko niedawno straciłem, ale zapewne już o tym słyszałeś.

– Tak... wiem, przykro mi.

– Przykro ci? – powtórzył, zanosząc się przy tym gorzkim śmiechem. – A nie wyglądasz, jakby ci było przykro. Wiesz, czego jeszcze nienawidzę? Łgarzy. Ociekającego słodyczą kłamstwa. Ust wypluwających zdradliwe słowa szybciej niż karabin maszynowy pociski. Bez zająknięcia, bez żadnej emocji. Boisz się prawdy, ale nie boisz się kłamać przy kimś, kto może zaraz zaszyć ci te plugawe usta? Jak to jest?

– Masz rację. – Zdobył się na odwagę. – Nie jest mi przykro. Żałuję jedynie, że ty przeżyłeś.

– Brawo. – Podszedł do niego, podniósł z kolan za ramiona i klepnął otwartą dłońią po policzku, uśmiechając się przy tym z lekkim politowaniem. – Tego właśnie oczekiwałem. Zapamiętaj, ja nie karzę za prawdę, tylko za kłamstwo. Jeżeli chcesz nauczyć się ze mną funkcjonować w tym mieście, musisz o tym pamiętać. Możesz wszystkim oznajmić, że wasz ulubiony bękart właśnie wrócił. Bardzo chętnie ponegocjuję przy drinku, jak długo jeszcze pozwolę wam oddychać. Przygotujcie propozycje i módlcie się, żeby mi się spodobały. A teraz wypierdalał i zabierz kolegów. – Z pogardą spojrział na dwa ciała szpecące marmurową podłogę jego gabinetu. – Koniec audjencji.

Począł aż wszyscy, łącznie z truchłami, znikną z pola widzenia, odwrócił się i wyszedł na taras.

– Wszyscy, czy jeszcze kogoś trzeba spacyfikować i doprowadzić przed oblicze najwyższego? – Alex siedział na jednej z sof i celował kolejnymi nożami w pobliskie drzewo.

– Najlepsze na deser. Dzisiaj wieczorem mam spotkanie z Giulianim i twoim ojcem.

– Mam iść z tobą? – Odwrócił się przez ramię, mierząc przyjaciela pytającym wzrokiem.

– Nie. Ten etap muszę przejść sam.

– Są wkurwieni – stwierdził z pogardą, powracając wzrokiem na cel.

– Wiem i o to właśnie chodziło. Wkurwieni popełniają błędy. Dzisiaj muszą zaakceptować moją obecność. W innym wypadku powtórzę rzeź sprzed dwóch tygodni, a na to nikt już nie ma siły.

– Ty też nie – podsumował, przeciągając się leniwie.

– Ty to wiesz, ja to wiem, ale oni tego nie wiedzą. *O la va o la spacca.*²

– James Arturo Moretti, *boss* klanu Morettich. Dziwnie to brzmi – rzucił cierpko. – Nie spodziewałem się.

– Ja też nie. – Zacisnął dłonie w pięści. – Ale brzmi to lepiej niż epitafium na nagrobku.

Czas było zacząć nowy rozdział w życiu. Możliwe, że najgorszy z dotychczasowych...

² *O la va o la spacca* – (z włos.) Potocznie: Wóz albo przewóz (przyp. aut.).